

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marii Staszewskiej.

TOM II.

— Nie jesteś kaleką. Każdy może doznać porażenia słowem. Za dwa lub trzy tygodnie będziesz się śmiać z tego wszystkiego.

— Lecz mam czasami uczucie... że... to jest uczucie — śmierci...

— Kiedy? kiedy?

— Przeszłej nocy. Czulem się poprostu jak człowiek konający.

— Nie powinnam była pozwolić, żeby doktor Hartley wyleciał. Ale mówiłeś, że chcesz być ze mną sam na sam. Nieprawdaż, Nigel?

— Tak. Czulem jakoś, że Hartley na nic się nie przyda, że żaden zwykły człowiek nie może mi pomóc. Miałem wrażenie, jak gdyby to było fatum i jak gdybyśmy oboje musieli to zwalczyć. Czulem, że gdyby... może... nasza miłość...

Głos zwołna zamierał.

Isaacson zacisnął pięści i uczynił krok wstecz. Drżący nędzny pies uciekł, bojąc się uderzenia.

— Co to było? — rzekł Nigel.

— Słyszałeś co?

— Tak, jakby czyjeś kroki.

— Oh, to ktoś z naszych ludzi. Czy chcesz, żebym ci jeszcze grała?

— Czy możesz grać bez światła? Boję się teraz światła... a tak je lubiłem dawniej...

— Sprobuje.

— Lecz będziesz musiała odejść! Zaczekaj chwilę. Ach, Ruby, to okropne! Mam wrażenie, że stoję nad przepaścią i że... bez podtrzymującej mnie ręki — musiałbym upaść — ja — nigdy, nigdy nie myślałem, że dojdę do tego, Ruby!

— Nie myśl o tem, najdroższy. Każdy...

— Tak, tak — wiem. Lecz nie znoszę — to nie jak mężczyzna. Idź i zagraj mi znowu.

— Nie będę grała „Geroniusa”, przywodzi ci na myśl, smutne, straszne rzeczy.

— Owszem, graj go znowu. Te nuty stały na twojem pianinie, kiedy cię odwiedziłem wtedy... w Londynie.

Wyszła.

Isaacson już się nie wahał. Wszedł na brzeg i zatrzymał się chwilę. Oddech jego był przyspieszony. W dole odezwał się fortepian. Bella Donna nie zobaczyła go, nie odgadła jego obecności. Mógł odejść podczas gdy grała i ona nigdy się nie dowiedzieć, że podsłuchiwał w nocy. A jutro, w słońcu, mógł wrócić otwarcie, nie zważając na zakaz i zapytać o swego przyjaciela.

„Proficiscere, anima christiana, de hoc mundo”!

Przyjdzie i zobaczy tę twarz ze zmienionym głosem, którego początkowo nie mógł poznać.

— Wyjdź z tego świata, duszo chrześcijańska! Wyjdź z tego świata!

Zawrócił do dalekich światła, które ukazywały miejsce, gdzie stała Fatma, pod Edfu.

— Wyjdź!... wyjdź z tego świata!

Czy to był głos księdza? Czy też może niszczycielski głos kobiety?

Isaacson odetchnął spokojnie; rozwarł ręce. Znowu panował nad sobą. W ciemności na wybrzeżu stał wielki lekarz. A ten lekarz nie miał nic do czynienia z dalekimi światłami pod Edfu. Pole jego działalności leżało gdzieś indziej.

— Wyjdź — wyjdź z tego świata!

Uczynił kilka kroków wybrzeżem i wszedł na pomost, łączący Loulę z brzegiem. Odsunął zapuszczone płótna i stanął na pokładzie. Liczne czarne oczy patrzyły na niego poważnie. Hanza odłączył się od zakłopotanego tłumy i podszedł do Isaacsona.

— Oddaj ten bilet swemu panu i spytaj się, czy mogę się z nim widzieć.

— Yes — rzekł Hanza i poszedł.

Dźwięki fortepianu nagle umilkły.

XII.

Nastąpiła chwila ciszy, która wydała się Isaacsonowi nieskończenie długą. Już nie czuł podniecenia. W człowieku tego typu podniecenie jest dzieckiem niepewności. Obecnie wszelka niepewność co do tego, co zamierzał uczynić, opuściła go. Spokojny, zdecydowany, panujący nad

sobą, jak gdyby siedział w swym konsultacyjnym gabinecie, przyjmując pacjentów, czekał na powrót służącego. Liczne czarne oczy spoglądały na niego uroczyście, a on patrzył na nie i był pewny, że jego oczy nie powiedzą im więcej, niż chciał.

Wychodząc, Hanza zamknął za sobą drzwi. Isaacson spojrział na nie i zobaczył napis, który Barondi przetłumaczył Mrs. Armine. Zapytywał się, co on znaczy i był przekonany, że musiał mieć jakieś głębokie znaczenie, jeżeli człowiek, którego widział przykućniętego pod zakopconym sufitem latarni haszysz, umieścił go jako motto na swej cudnej łodzi.

Wreszcie drzwi się otworzyły i Hanza zrobił ruch zapraszający. Isaacson zszedł ze schodów i został wprowadzony do pierwszego salonu Loulę, pokoju, który Barondi nazywał swoim. Drzwi z przeciwnej strony, wychodzące na pokój jadalny, były zamknięte. Mrs. Armine stała przy biurku, trzymając bilet Isaacsona w ręku.

Skoro tylko przekroczył próg salonu, Hanza wyszedł i cicho zamknął drzwi za sobą.

Mrs. Armine była czarno ubrana. Na policzkach miała dwie źle namalowane plamy. Patrzyła na niego twardo, pytająco i podniosła rękę.

— Cicho, proszę — rzekła zniżonym głosem. — On nie wie, że pan tu jest. Spł teraz.

Oczy jej przebiegły jego twarz i dodała:

— Grałam, grałam, żeby go uspić.

Jakby sobie przypominając, wyciągnęła rękę do Isaacsona. Podeszła cicho i ujął ją. Uczyniła jakby mimowolny, prawie gwałtowny ruch, lecz wstrzymała się, prz gryzając wargę. Zauważył pulsację w jednej z jej powiek. Zatrzymał jej rękę i powiedział również zniżonym głosem:

— Lękam się, że moje przybycie o tej porze bardzo panią zdziwiło. Proszę mi przebaczyć, lecz...

— A mój list? — zapytała.

— Czy mogę usiąść? Co za wspaniałe kobierce! Jak to nadzwyczajna łódź!

— Oh, proszę siadać... na otomance. Tak, kobierce są piękne...

Śpiesznym krokiem, bez zwykłego wdzięku, podeszła do najbliższej otomany. Podążył za nią. Usiadła, lecz się nie oparła. Bilet jego upadł na podłogę.

— Pan czytał mój list! A zatem?

Isaacson miał wrażenie, że w jego towarzystwie toczy się teraz zacięta walka pomiędzy gwałtownym wybuchem a dyplomacją. Był ciekawy, którą z tych dwóch dróg wybierze, lecz właściwie nie dbał o to. Wiedział, że nie wpłynie na zmianę jego postanowienia.

— A zatem? — powtórzyła wciąż przyciszonym głosem.

Zegar z kukułką się odezwał.

— Nieznośny...

Zerwała się, pobiegła do zegara, szarpnęła za drzwiczki i wsunęła palce do wnętrza. Dał się słyszeć suchy trzask. Powróciła z lekko zadrażnionymi palcami.

— To doprowadza Nigla do szaleństwa. Powinnam była oddać ten zegar zatrzymać. Pan otrzymał mój list, a ja pańską odpowiedź.

— I ma się rozumieć, pani znajduje, że nie powinienem być przyjsć.

Spojrzała na niego i usiadła. Isaacson odgadł, że już obrała drogę.

— Przypuszczam, że pan był zaniepokojony i chciał się dowiedzieć więcej szczegółów ode mnie. Czy zgadłam?

— Czulem się zaniepokojony. Przyznaję.

— W jaki sposób pan przybył?

— Przyszedłem piechotą.

— Pan przyszedł? Sam?

— Zupełnie sam.

— Tak daleko! Odeszł pana feluka.

Dotknęła się elektrycznego dzwonka. Wszedł Hanza.

— Feluka, Hanza.

— Yes. — Wszedł.

— Zaraz ją przygotują.

Zaczęła poprawiać poduszki. Isaacson zauważył złotawy odcień na jej skroni. Widocznie malowała się z pośpiechem, bez zwykłej staranności.

— Za chwilę ją przygotują — powtórzyła.

Zwróciła się do niego, nagle uśmiechnęła.

— Pan się czuł zaniepokojonym, pomyślał, że chciałby się dowiedzieć czegoś więcej i przyszedł w nocy, żeby Nigla nie obudzić i nie zdziwić. To bardzo ładnie z pańskiej strony. Prawdę powiedziawszy, nie mówiłam mu o naszym

spotkaniu. Miałam ten zamiar, lecz musiałam go zaniechać.

— Czytał wszystko, co dzienniki pisały o śmierci Hartwich'a i to go zupełnie zgnębiło.

Spostrzegła nagle kropelki krwi na swych palcach.

— Oh! — zawołała, wyjmując chusteczkę i przyciskając ją do nich.

Hanza się ukazał.

— Ah, feluka gotowa — rzekła.

— Niezwykłego ma pani lokaja — rzekł Isaacson.

Pomimo przyciszonego głosu mówił spokojnym tonem światowego człowieka, który się czuje zupełnie swobodny i ma przyjemną godzinę przed sobą.

— Widziałem, jak się modlił.

— Jak się modlił?

— Tak, wtedy, kiedy przyniósł list.

— Wyras zgrozy ukazał się na jej twarzy, lecz zaraz znikł.

Siedziała na brzegu otomany, jakby zamierała zaraz wstać. Isaacson założył nogę na nogę.

— To, co pani powiedziała dziś rano o swym mężu zaniepokoiło mnie.

— Widocznie mówiłam bardzo nieuważnie — rzekła prędko.

Przez cały czas rozmowy czyniła lekkie ruchy — nigdy nie pozostawała w spokoju.

— A więc pani nie jest zaniepokojoną jego stanem?

— Ja... tego nie mówię. Naturalnie, że żona czuje zawsze trochę niepokoju jeżeli jej mąż chory. Lecz jest tak znacznie lepiej, że byłoby niedorzecznością się trapić.

— Przyznam się, że z rana pani obudziła mój zawodowy niepokój.

— Doprawdy nie rozumię jakim sposobem.

— Pani wie, że my lekarze zwracamy wielką uwagę na symptomy, a pani powiedziała kilka szczegółów, z których wnoszę, że mąż pani ma się gorzej, niż się pani wydaje.

— Doktor Barring Hartley go leczy.

— Lecz go tutaj niema.

— Przyjeżdża jutro rano.

— Zrozumiałem, że oczekuje na państwo w Assnau. Pani wybaczy, że chciałbym się wtrącić do tej sprawy. Jako dawny przyjaciel męża pani...

— Doktor Hartley jest w Assnau, lecz przyjedzie jutro, żeby odwiedzić swego pacjenta. Pan widocznie nie wie, że Assnau jest blisko stąd, zaraz przy skręcie.

— Wiem, że jest oddalony o sto dziesięć kilometrów.

— Stalkiem parowym, albo koleją, taka odległość to nic. Będzie tutaj jutro.

— A więc mąż pani czuje się gorzej?

— Wcale nie.

— Ale jeżeli pani posłała po doktora Hartley'a?

— Uczyniłam to tylko dlatego, że zamiast popłynąć zaraz do Assnau, jak mieliśmy początkowo zamiar, postanowiliśmy jeszcze tutaj pozostać. Nigel chce spokoju. Pan zapomina, że tylko co stracił jedyne go brata.

— Pani ma na myśli, że to niedelikatnie z mojej strony narzucać się w tych smutnych dla państwa chwilach?

— Nie chcę tego powiedzieć — rzekła twardo.

— Obawiam się, że pani to myśli. Będę z panią szczerą, Mrs. Armine! Tutaj jest mój przyjaciel chory, bez lekarskiej pomocy...

— Chwilowo tylko.

— Chwilowo bez lekarskiej pomocy, w bardzo samotnej miejscowości.

— Drogi doktorze! — podniosła swe cienkie brwi — słysząc pana — możnaby pomyśleć, że się znajdujemy na końcu świata, a nie w środku cywilizacji i ludzi.

— I tutaj przypadkiem — zobaczył na jej ustach grymas, który ją nagle uczynił znacznie starszą — przypadkiem znajduję się ja, dawny znajomy, przyjaciel, i jeżeli mogę tak sobie powiedzieć — używający dobrej sławy lekarz. Czy to nie naturalne, że przychodzę zobaczyć, jak się chory czuje?

— Och, zupełnie, i powiedziałam panu jak mu jest.

— Czy nie byłoby naturalnem, żebym chciał widzieć chorego?

Usła jej się skrzywiły. Przycisnęła ręką poduszkę.

(Ciąg dalszy nastąpi).